

1.

Szarik zaginął w dniu, gdy na osiedle, na którym mieszkała Kateryna, spadły bomby.

Już od początku wojny syreny alarmowe ostrzegały o możliwości ataku raketowego i ludzie chowali się wtedy do piwnicy. Właściciele psów lub kotów (a także innych zwierząt domowych, takich jak chomik Dmytra) zwykli zabierać swoich podopiecznych ze sobą. Kateryna Kolesnik i jej mama postępowały podobnie z Szarkiem.

Tak też wyglądało to tego pechowego poranka. Kiedy odezwała się syrena, wzięły psa na smycz i jak najszybciej zbiegły z nim po schodach z drugiego piętra, na którym znajdowało się ich mieszkanie.

Szarik był bardzo mądrym psem. O tak! Gdy jednak jesteś zaniepokojony, bo twoi właściciele są zdenerwowani, a wokół słychać złowrogie wycie syren, wówczas psia mądrość na niewiele się zdaje. Podkulasz pod siebie ogon i trzęsiesz się ze strachu. A kiedy na dodatek coś raptem świszczy w górze, jesteś naprawdę przerażony. Na wpół otwarte drzwi na klatkę schodową wydają ci się ratunkiem – w panice wyrwasz smycz z ręki swojej pani i pędzisz. Nie reagujesz na wołania, wypadasz na ulicę i biegniesz na oślep, byle dalej od tego straszego miejsca. A gdy w końcu się zatrzymujesz, nie masz pojęcia, gdzie jesteś.

To właśnie zdarzyło się Szarikowi.

Gdy wyrwał się ze smyczą, Kateryna odruchowo próbowała pobiec za nim, ale mama złapała ją za rękę.

– Nie ma czasu, Katerynko!

Dołączyły do sąsiadów, siedzących ponuro na prowizorycznych ławkach i materacach w tej samej piwnicy, do której przed wojną Kateryna bała się nawet zaglądać, bo Dmytro z trzeciego piętra twierdził, że mieszkają tam upiory. Nigdy nie przypuszczała, że będzie czuła się tu bezpieczniej niż we własnym mieszkaniu...

Tak strasznie jak tego dnia nie było jeszcze nigdy. Dotychczas wybuchy słychać było z oddali, dziś przybliżały się z każdą kolejną detonacją. W pewnej chwili zaczął drzeć cały budynek. Kateryna przeraziła się, że zaraz się zawali. Wydawało się jej, że minęły wieki, nim zapadła cisza, choć

w rzeczywistości atak trwał zaledwie kilka minut. Przez cały ten czas dziewczynka wtulała się w mamę. Inne dzieci robiły tak samo. Nawet odważny Dmytro, który zszedł tu razem z siostrą i rodzicami.

Kiedy wreszcie mogli opuścić piwnicę, Kateryna mocno trzymała mamę za rękę. Wyjrzały na podwórko; ich blok był cały, ale kilka domów dalej unosił się dym. Budynek stał jak wcześniej, ale z prawej strony był osmalony i we wszystkich oknach brakowało szyb. Ulicą jeździły wozy straży pożarnej.

– Miejmy nadzieję, że nikt nie zginął – westchnęła mama.

Wracając do mieszkania, Kateryna biegła pierwsza, mając nadzieję, że pod drzwiami czeka Szarik. Niestety, przed progiem leżała tylko pusta wycieraczka.

Mama od razu poszła szukać psa, lecz wróciła z niczym.

– Przepadł jak kamień w wodę – oznajmiła zasmucona. – Zaginął.

Gdy przygotowywała śniadanie, Kateryna przez cały czas siedziała w oknie. Wraz z Panną Migotką – swoją ulubioną lalką, która mieszkała w zabawkowym domku z kartonu – wyglądały na ulicę. W pewnym momencie ulicą przebiegł pies, ale nie był to Szarik.

Po śniadaniu mama zadzwoniła do taty, który zaraz na początku wojny dołączył do broniących kraju żołnierzy. Kateryna bardzo za nim tęskniła. Raz śniło się jej, że tata zginął i kiedy obudziła się z krzykiem, mama zabrała ją do swojego łóżka. Obie nie mogły już zasnąć do rana. Zazwyczaj trudno było się z tatą skontaktować, lecz tym razem mama miała szczęście. Rodzice długo rozmawiali, a kiedy skończyli, mama powiedziała do Kateryny:

– Uciekamy!

– Jak to? – zaskoczona dziewczynka otworzyła szeroko oczy.

Mama wstała z krzesła. Oddychała głośno i drżały jej ręce.

– Wyjeżdżamy za granicę – oznajmiła nieoczekiwanie schrypniętym głosem. – Tam będziemy bezpieczne, dopóki wojna się nie skończy... Tata uważa, że to dobry pomysł. Mówi, że sąsiednie kraje rozumieją naszą sytuację i organizują pomoc. Wielu ludzi już tak wyjechało...

Mamie łamał się głos. Przez cały czas rozglądała się po kuchni, jakby mówiła nie do Kateryny, lecz do wiszących tam szafek. W końcu wzięła się w garść, pogłaskała córkę po głowie.

– Idę na parking sprawdzić, czy nasz samochód nie ucierpiało, a ty zacznij się pakować – powiedziała łagodnym głosem. – Bierzymy tylko to, co niezbędne.

– Tak od razu? – Kateryna wciąż miała wrażenie, że to jakiś sen. Taki jak tamten z tatą. Wystarczy obudzić się i zło minie.

– Nie zawsze możemy mieć takie szczęście jak dzisiaj – mówiła dalej mama. – Tata uważa, że im szybciej wyjedziemy, tym lepiej. Wie, jakie jest zagrożenie, bo znajduje się bliżej miejsc, gdzie toczą się bezpośrednie walki.

Kateryna niepewnie zerknęła w okno.

– A Szarik? Co z nim?

Mama bezradnie rozłożyła ręce. Kateryna przytuliła do piersi Pannę Migotkę, ale łyzy i tak same cisnęły się jej do oczu. Szarik był członkiem rodziny. Rodzice opowiadali, że podobno ciekawsko zaglądał do kotyski, kiedy była jeszcze niemowlęciem. Wilgotnym, czarnym jak węgiel nochałem lubił dotykać jej policzka. Dziewczynce wydawało się nawet, że to pamięta, choć dorośli twierdzili, że to niemożliwe.

– Powiem sąsiadom, żeby się nim zaopiekowali, gdyby wrócił – obiecała mama, wychodząc.

Gdy wszystkie bagaże znalazły się w samochodzie, obie po raz ostatni spojrzały w głąb ulicy. W pewnej chwili w ich oczach pojawił się błysk nadziei, bo coś poruszyło między drzewami. Niestety, to tylko wrona dziobała wśród gruzów.

Kateryna odgoniła od siebie straszną myśl, że pies może nie żyje. Że trafił go odłamek rakiety albo zawalił się na niego dom...

2.

Auto popsuło się, kiedy do granicy z Polską pozostało może pięćdziesiąt kilometrów. Mama Kateryny próbowała zatrzymać któryś z samochodów, jadących w tym samym kierunku, ale w każdym było pełno pasażerów.

– Wszyscy jesteście uchodźcami – mówili.

Zbliżał się wieczór. Robiło się coraz chłodniej. Mama próbowała połączyć się z tatą przez komórkę, ale łączność wciąż się zrywała. W drugą stronę – tam, gdzie toczyła się wojna – nie jechał prawie nikt. Czasem tylko ciężarówki z pomocą humanitarną, z rzadka samochód osobowy, w którym poza kierowcą nie było nikogo.

Niespodziewanie jedna z takich osobówek zatrzymała się. Przez otwarte okno wychyliła się twarz młodego, brodatego mężczyzny.

– Potrzebujecie pomocy? – mówił z obcym akcentem, nie był Ukraińcem.

– My do granicy. W przeciwnym kierunku niż pan – podziękowała mama Kateryny, a potem powtórzyła to, co wcześniej słyszała od pasażerów zatrzymanych aut:

– Jesteśmy uchodźcami!

Czuła się dziwnie, wypowiadając te słowa. Uchodźcy. Tyle razy słyszała to określenie, oglądała podobnych ludzi w telewizji, pomagała jakimś drobnymi wpłatami, a teraz... Teraz wraz z córką stały się uchodźcami!

Milcząca dotąd Kateryna pokazała kierowcy Pannę Migotkę.

– Ona też jest uchodźcą – oznajmiła ze smutkiem. – Musiała zostawić swój domek z kartonu. Miał okna z firankami i czerwony dach.

Brodacz ze zrozumieniem pokiwał głową. Jego oczy zaślniły w blasku zachodzącego słońca.

– Utknęłyście? – zapytał, spoglądając wymownie na stojący na poboczu samochód.

– Popsuł się, stary grat – przytaknęła mama.

Mężczyzna obejrzał się na tylne siedzenie, zapakowane kartonami.

– Jadę nie w tę stronę, ale co tam, mogę zawrócić – oświadczył. – Przesuniemy jakoś ten ładunek i podrzucę was do granicy. I tak jestem umówiony dopiero na jutro rano.

– Z kim pan jest umówiony? – zainteresowała się mama Kateryny, gdy jechali już w kierunku granicy.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odparł brodac.

– Jak to?

– Zabieram ludzi z różnych miejsc. Uchodźców, takich jak wy. Nie każdy ma samochód i wtedy trudno mu się wydostać, zwłaszcza z miejsc, gdzie trwają walki. Wtedy dzwonią do mnie znajomi wolontariusze, a ja jadę tam, gdzie jest potrzebny transport. Dzisiaj to mój drugi kurs.

– Jest pan ratownikiem?

– Nie, informatykiem. Nim wybuchła wojna, miałem zamiar jechać w góry, na narty. Ale kiedy usłyszałem, co się dzieje, pomyślałem, że nie mogę. Mam bawić się na wakacjach, podczas gdy niedaleko ludzie przeżywają takie nieszczęścia? Akurat miałem czas, żeby pomóc osobiście, wziąłem więc urlop, wsiadłem w samochód i jeżdżę. W jedną stronę wożę żywność i artykuły pierwszej potrzeby, w drugą uchodźców...

– Postępuje pan bardzo szlachetnie – przyznała mama.

– Bo ja wiem? – Mężczyzna zamrugał z zakłopotaniem. – Po prostu uważam, że ludzie powinni sobie pomagać. Jak mówi przysłowie: raz na wozie, raz pod wozem. Jeśli będziemy sobie pomagali, zawsze będziemy jechać na wozie.

Kateryna wyobraziła sobie siebie, mamę i Pannę Migotkę, jak pobrudzone smarami leżą pod wozem (czyli ich pozostawionym na szosie popsutym samochodem), bezskutecznie usiłując go naprawić. Jest zimno i pada śnieg, wtem nadjeżdża wóz pełen ciepłego i pachnącego siana, a na górze woźnica, który wygląda zupełnie jak brodac. Tylko wąsy ma większe i na głowie słomiany kapelusz...

– Wsiadajcie! – Woźnica z wyobraźni Kateryny wyciągnął ku nim rękę.

Dziewczynka uśmiechnęła się do własnych myśli. W samochodzie brodacza nie pachniało sianem, było jednak ciepło i przyjemnie. Słońce już zaszło, na zewnątrz migały czerwone drogowe

słupki, z każdą minutą przybliżające ich ku bezpiecznej granicy. Jak tam będzie, w obcym kraju? Trochę się tego bała. Nawet więcej niż trochę.

Gdyby choć Szarik był z nimi...

Przytuliła się do siedzącej obok mamy, która przysnęła, zmęczona po trudach dnia. Też próbowała zasnąć, lecz wspomnienie Szarika wciąż powracało. Czy wrócił do domu? Czy jeszcze kiedyś go zobaczy?

Próbowała zagrać w jakąś grę na komórce, ale nie mogła się skupić.

Kierowca, zerkający we wsteczne lusterko, dostrzegł jej smutek.

– Coś się stało? – zapytał.

Dziewczynka pociągnęła nosem, piąstką otarła łzę, która zakręciła się w jej oku.

– Tęsknię za moim pieskiem – wyjaśniła. Poszukała w telefonie zdjęcia Szarika i wysunęła rękę do przodu, żeby pokazać ulubieńca. – Tak wygląda. Ma biało-czarne łaty i umie podawać łapę.

Zachęcona zainteresowaniem brodacza, opowiedziała historię ich pośpiesznego wyjazdu.

– Myśli pan, że Szarik jest cały i zdrowy? – spytała na koniec.

– Nie wiem – odrzekł szczerze. – Mam taką nadzieję.

– A mogę przesłać to zdjęcie na pana telefon? – poprosiła cichutko. – Może go pan spotka?

– Kategorycznie! – zwróciła córce uwagę mama, która ocknęła się z drzemki. – Przecież to niemożliwe. Pan pewnie nawet nie będzie przejeżdżał w pobliżu naszego miasta.

– Ależ chętnie zachowam takie fajne zdjęcie, choćby na pamiątkę – zaprotestował brodacz. –

Poza tym, nigdy nic nie wiadomo...

– Przepraszam, nie przedstawiłem się – rzekł, kiedy już podyktował Katerynie numer swojego smartfona. – Nazywam się Radek Domarski.

3.

Kilka dni później Radek Domarski znów wioził paczki z pomocą dla ludzi na obszarach objętych wojną. Jak na koniec zimy dzień był ciepły i pogodny.

Wtem ujrzał przy drodze słonia.

Z niedowierzaniem wytrzeszczył oczy. Gdyby znajdował się w jakimś afrykańskim kraju, pewnie uśmiechnąłby się tylko i pojechał dalej, ale ponieważ wciąż był w Europie Środkowej, zrobił to, co uczyniłby chyba każdy na jego miejscu. Zatrzymał samochód i wysiadł zaciekawiony.

Na poboczu stała kolumna kilku samochodów, w większości ogromnych ciężarówek.

Początkowo Domarski sądził, że to cyrk. Mimo że był już dorosły, wciąż lubił cyrki, ale takie z klaunami, akrobatami i magikami. Uważał, że widowiska z tresowanymi zwierzętami, traktowanymi

jak niewolnicy, występującymi na arenie na rozkaz strzelającego z bata tresera, dawno już powinny przejść do historii.

Pomyłka wyjaśniła się, gdy uważniej przyjrzał się zatrzymanym przy drodze pojazdom. Na pierwszym z nich widniało słowo zrozumiałe w większości języków świata: ZOO. A pod spodem mniejszymi literami napisane było: „Ogród Zoologiczny w Poznaniu”.

Domarski podszedł bliżej. Słoń powolutku przestępował z nogi na nogę i unosił trąbę, którą głąskała kobieta w dżinsach i chustce na głowie.

– Co się stało?

– Balbina ma chorobę lokomocyjną – wyjaśniła kobieta. – Musi chwilę odetchnąć świeżym powietrzem. Proszę nie podchodzić, bo się denerwuje.

– Oczywiście. – Domarski odsunął się posłusznie.

– Co tu robicie? – spytał kierowcę ciężarówki, który korzystając z przerwy w podróży jadł kanapkę.

Kierowca przełknął kolejny kęs i odparł:

– Ewakuujemy zwierzęta z ogrodów zoologicznych z obszarów zagrożonych wojną. Wojna to kataklizm również dla nich. Szaleją ze strachu. Niektóre znajdują dom w naszym poznańskim zoo, inne pojedą dalej.

Niespodziewanie z wnętrza metalowej paki pojazdu dobiegł groźny pomruk.

– To lwy. – Mężczyzna uśmiechnął się, widząc zaniepokojenie Domarskiego. – Samica z dwojgiem lwiątek. Maluchy mają zaledwie kilka miesięcy, ale rozrabiają.

– To dobry znak – powiedział drugi mężczyzna, który podszedł z boku. – Nieopodal ogrodu zoologicznego, w którym mieszkały, wybuchło kilka bomb. Huk musiał potwornie je przerazić, bo potem przez cały czas tuliły się do matki. Lwica też zresztą nie była w najlepszej formie. Ale, jak słychać, dochodzą do siebie.

– Pan też jest z obsługi zoo? – zainteresował się Domarski.

Nieznajomy pokręcił głową.

– Ja i moja żona tylko dołączyliśmy do konwoju. Mają weterynarza, więc tak jest łatwiej, jakby co.

– Jakby co? – nie zrozumiał Domarski.

– Zbieramy z okolicznych miast psy i koty, które stały się bezdomne, gdyż ich właściciele wyjechali lub zginęli... Wiem, że ludzie są ważniejsi, ale zwierzęta to nasi bracia mniejsi. Je również dotknęła wojna i tak samo potrzebują pomocy. Nie wszyscy to rozumieją, ale...

Domarski popatrzył na swojego rozmówcę z powagą.

– Ja rozumiem doskonale – rzekł. – Niedawno wiozłem dziewczynkę, której pies zaginął i nie mogła go zabrać, gdy wyjeżdżała. Bardzo się o niego martwiła. Wojna rozdziela nie tylko ludzi.

Usiłował przypomnieć sobie, jak nazywała się dziewczynka, ale jej imię przepadło mu w pamięci. Przypomniał sobie za to co innego. Wyjął z kieszeni telefon.

– Wiem, że to może głupie – odezwał się, nagle zakłopotany – ale chciałbym pokazać panu pewne zdjęcie...

Chwilę trwało, nim odszukał tamten SMS.

– „Szarik”. – Zaglądający mu przez ramię mężczyzna przeczytał na głos podpis pod fotką.

– Uciekł, bo przeraził się nadlatujących rakiet.

– Hm... – Nieznajomy podrapał się w głowę. – Wiozę bardzo podobnego pieska. Błąkał się przy ruinach bloku ostrzelanego pociskami artyleryjskimi. Byłby to traf jeden na milion. Ale nawet w totolotka zawsze ktoś wygrywa, prawda? Chce go pan zobaczyć?

Ruszyli wzdłuż konwoju. Kiedy dotarli do nieoznakowanej furgonetki, mężczyzna otworzył przesuwne drzwi. Wewnątrz stały klatki, przystosowane do transportu zwierząt. Kilkanaście psów różnej maści spoglądało na przybyszy smutnymi oczami.

Spojrzenie Domarskiego zatrzymało się na jednym z nich. Niewielkim, czarno-białym kundelku.

– Psy bywają do siebie podobne – usłyszał za sobą rozsądny głos właściciela furgonetki.

Przez chwilę obaj mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w łaciatego czworonoga.

– Szarik! – zawołał zachęcająco Domarski.

Psiak nieśmiało pomachał ogonem, lecz równocześnie zrobiło to kilku jego towarzyszy niedoli. Mógł w taki sposób reagować na przyjazny ludzki głos.

„Ten czy nie ten?”. Domarski pochylił się nad klatką, jakby to mogło przynieść odpowiedź. „Chyba jednak nie...”. Nie miał pewności, no bo skąd?

Pies zaskomlał i oblizał się nerwowo.

Domarski wyprostował się.

– Wie pan, że nigdy nie miałem psa...? – Mówił cicho, jakby sam zdziwiony tymi słowami. Nagle podjął decyzję: – Co by pan powiedział, gdybym zabrał go ze sobą?

Jeśli mężczyzna był zaskoczony, nie okazał tego. Przyjaźnie położył dłoń na ramieniu Domarskiego.

– Powiedziałbym, że w porządku – oświadczył. – Budzi pan zaufanie, a w tym właśnie nasz problem, żeby znaleźć dla zwierząt nowych opiekunów, jeszcze zanim trafią do schroniska.

4.

Siedzący w swoim samochodzie Radek Domarski odprowadzał wzrokiem znikający za zakrętem konwój z logo poznańskiego zoo. Jako ostatnia odjechała ciężarówka, do której po pochylni weszła niezadowolona z takiego obrotu sprawy słońca Balbina.

Drewniana skrzynia ciężarówki miała po bokach okienka i mężczyzna wyobraził sobie, że przez jedno z nich wylania się szara słońcowa trąba i macha mu na pożegnanie. Tak zapewne wyglądałoby to na jakimś przygodowym filmie. Ale to nie był przygodowy film, tylko smutna wojenna rzeczywistość. Zwierzęta nie rozumiały, co się dzieje, i transport w nieznaną dla nich ciężką przemoc.

Domarski zerknął w bok, na pieska zajmującego siedzenie pasażera. Smycz – którą wraz z obrozą dostał w prezencie – przypięta była na krótko do uchwyty na pas bezpieczeństwa.

– A ty lubisz jeździć samochodem, Szarik?

W odpowiedzi pies otworzył pysk i zadyszał. Dotknął nosem krawędzi szyby, mocno wciągając powietrze. Wyglądało na to, że przeciwko jeździe samochodem nie ma absolutnie nic.

Domarski wciąż zwlekał z uruchomieniem silnika. Trzymał w ręku telefon komórkowy i zastanawiał się. Na ekraniku nadal miał wyświetlone zdjęcie Szarika, przesłane mu przez dziewczynkę...

– Kateryna! – przypomniał sobie wreszcie jej imię. – Przecież mama mówiła do niej Kateryneczko!

Był w rozterce. Nie wiedział, czy zadzwonić do dziewczynki, czy nie. Na pewno byłaby szczęśliwa, ale co, gdyby potem okazało się, że zaszła pomyłka i to wcale nie ten pies? Czy to jeszcze bardziej jej nie zaboli?

Wtem znowu coś mu się przypomniało.

– Szarik! Daj łapę! – odezwał się do psa i wyciągnął rękę.

Psiak przekrzywił głowę, zadrobił przednimi łapkami, po czym uniósł jedną z nich w górę.

– A niech to! – zawołał Domarski. – Co ma być, to będzie. Dzwonię!

Czekając na połączenie, mrugnął do Szarika.

– Nie martw się – powiedział. – Twoja włośczęga i tak się skończyła, bez względu na to, co się okaże. Będiesz albo Kateryny, albo mój.